

ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XII.

Warszawa, dnia 14 lutego 1920 roku.

Nr 7.

Kazimierz Zdziechowski.

POWIEŚĆ.

PRZEGRANA.

7

W trakcie tego wykładu nieoszacowana krzywousta panna Irena, która nie miała ani pieniędzy, ani stanowiska — ale za to złą przemianę materji wstała od stołu, poszła przynieść butelkę chartreuzy, poczem zemknęła do swego pokoju, by tam do późna w nocy szyc na maszynie i podczas pracy z ukontentowaniem obliczać, że dzięki nadetatowej robotcie uda się jej sporo grosza uciąć, że uzbierane pieniądze dadzą jej własny kąt na starość i możność urzeczywistnienia marzeń swoich t. j. ochronki dla wałęsającej się między rynsztokiem, a śmietnikiem dziatwy z sąsiednich kamienic.

— Jestem bogaty, używałem, bawię się i nigdy nie zaznałem ani nudy, ani przesytu, — ciągnął dalej pan inżynier — tylko żarłoczne świnie i głupcy chorują na niestrawność, a kalecy duchowi miewają wyrzuty sumienia. Trzeba umieć używać. Tyle jest rodzajów rozkoszy... Nauka, sztuka, rozmowa, polityka i patriotyzm, wykwinna kuchnia i dobre trunki, podróże, przyroda, kobiety, sporty, kolekcjonerstwo, karty i jeszcze raz kobiety... Trzeba tylko umieć zachować miarę.

Czesław Rogoński, który wypił dużo i miał błyszczące oczy, nieustannie potakiwał swemu współnikowi, jakkolwiek z obowiązku i z urzędu powinien byłby zaprzeczać.

— Nie powiadam tu rzeczy nowych — gadał jeszcze pan inżynier, który nie wiedzieć czemu nie patrzył w stronę Ewy — i dziwić się zaiste należy, że te odwieczne prawdy tak mało jeszcze są rozpowszechnione, a stare nieprawdy religij i filozofji tylu znajdują pokornie i posłusznie wierzących osłów... Zresztą tem lepiej! Cóżby się stało z nami, z klasą uprzywilejowaną gdyby rzęszki wyzyskiwane, przejrzały nagle

i krzyknęły: — dość oszustw i krzywdy! Teraz na nas kolej! Zepchnięto nas na sam dół, dziś my chcemy być u góry i używać na ziemi — wy zaś pocieszajcie się królestwem niebieskiem!... Nadejdzie kiedyś ten straszny dzień — dies ille — dies irae, boć przecież niepodobna ażeby ^{999/1000} ludzkości dawała się dłużej zwodzić... Ludzie niedorozwinięci, zwyrodniali i chorzy mogą zadowolić się ofiarą, ale zdrowi upomną się o swoje prawa.

Ewa sączyła powoli swój ulubiony likier i chwilami słuchała, piekły ją policzki i oczy dusił dym cygar, tak samo dusiły inżynierskie roztrząsania. Jakieś piękne marzenie prysło, świat Małkowskiego rozpadł się w gruzy, Małkowski odszedł stąd na zawsze i zostawił ją na pastwę Chabrowskiego, męża, nudy, Rogońskich... życie, które tak dokładnie znał wymowny cynik, zdawało się samem złem... Niezmierna w sercu podniosła się tęsknota za marzeniem, które prysło, za światem który zapadł się, za tym, który odszedł stąd skrzywdzony, pobity na głowę, wyśmiany. Ale chęć do płaczu minęła od dawna i nawet udzieliło się trochę wesołości rzekbyś zapożyczonej u męża i gościa. Niekiedy Ewa zapadała w zadumę, która trwała w niej niezależnie od woli jej (zarówno jak wesołość) jak gdyby nie ona sama, lecz ktoś inny rozważał w niej coś doniosłego. Naraz wstała, wyszła z pokoju; przechodząc przez gabinet zauważyła pod krzesłem Małkowskiego notatnik, który młodemu człowiekowi musiał wysnąć się z kieszeni czy czapki, podniosła go i dalej szła ku drzwiom na balkon, które pchnęła. Nad Warszawą mróz wypogodził niebios a i zapalił roje gwiazd. Świetny Orjon płonął na

wprost Ewy. Spoglądając w przestwór nocy, w bezmiary świata, w otchłanne gościńce mroku i gwieździste szlaki wśród nieba, pani Rogońska uświadomiła sobie, że zapadło w niej nieodwołalne postanowienie, Wielka radość powiała jej przez duszę, jakoby tchnienie wiatru, który niesie moc. W tej chwili Ewa usłyszała kroki inżyniera. Szybko cofnęła się do salonu jeszcze prędzej zamknęła drzwi na balkon i zasłoniła je swoją osobą, jak gdyby obawiała się, że on zabierze jej widok niebios i cudnego Orjona, zgasi radość i skruszy moc, które spłynęły na nią z niebios i gwiazd, odgadnie i wyśmieje owo marzenie, które ona wypisała na drogach mlecznych spojrzeniem tęsknoty...

Chabrowski stał przed nią z cygarem w palcach, z popiołem na kłapach surduta ciężki, wstrętny, tłoczący.

— Uradziliśmy z Czesiem jechać do kabaretu oczywiście pani z nami, — rzekł.

Wahała się мгніenie. Wiedziała, że będzie dużo szampana i sztucznej wesołości, po której nazajutrz pustszym, nudniejszym i dłuższym zdaje się dzień, — że natarczywy Chabrowski nie odstąpi od niej ani na krok, że narzuci się uwielbieniem jeden z owych dwu hrabiów, którzy wciąż ludzą się, że ona w końcu ulegnie. Pani Rogońska lubiła szampana, dowcipne kuplety, zabawę, muzykę i śpiew, natłoczone sale i hołdy mężczyzn — choć wiele miesięcy tęskniła za Małkowskim i jego wzniosłą rozmową. — „Ostatni raz! — pomyślała i zgodziła się tem bardziej, że, jak doświadczenie wykazało, pan inżynier zawsze umiał postawić na swoim. Przed wyjściem starannie ukryła znaleziony notatnik, a przed schowaniem niedyskretnie zajrzała do środka. Marzyciel zapisywał w wytartej od ciągłego i dawnego używania książeczce myśli ulotne własne i cudze, adresy, rachunki.

„Niech się twa dusza jak dolina położy“, przeczytała Ewa i ucało-

wała ową stronicę, myśląc o ręce, która kreśliła te słowa i pragnąc przeprosić nieobecnego, za nie-szczesny śmiech swój.

W przedpokoju panowie niecierpliwi się.

V.

Czesław Rogoński lubił swoją osobę, i własne swoje życie zawsze w tym samym stopniu, ale miewał dnie zgnębienia. Przegrana na giełdzie lub w sądzie, słony rachunek żony, lub jeszcze bardziej słony rachunek „Etelki“, chybiona kandydatura na posła do „Dumy“ wprawiały go w zły humor, który przechodził prędko jak śłota wiosenna, stale natomiast gryzła mecenasa nieprzemijająca troska o zdrowie. Co parę miesięcy Rogoński udawał się do doktora, starannie wybranego z pomiędzy znakomitości warszawskich, aby ten zbadał go, osłuchiwał, opukał i uspokoił. Osłuchany i opukany trzymał się jakiś czas raźnie, lecz wkrótce nerwy zaczynały broić. Pan mecenas należał do imaginatyków, bardziej niż śmierci bał się tabesu a miał dość poważne podstawy do niepokojenia się o siebie. Jak zhora przesładował go odstraszący przykład pewnego wiedeńskiego kolegi i współtowarzysza niedoli, którego spotykał u wód, który to wesoły kuracjusz miał zwyczaj, chodząc o lasce po parku i zawijając nóżką, powtarzać: „Die Liebe ist doch kein Verbrä-chen“. Dwa lata temu naddunajski adwokat uległ atakowi paraliżu, rok temu nie przyjechał zupełnie... I zdawało się ni stąd ni zowąd Rogońskiemu, że jego prawa noga zaczyna także najniepotrzebniej to zataczać kręgi, to z lekka zamiatać podłogę. Zdawało mu się, że traci słuch lub wzrok, że strzyka mu w rdzeniu pacierzowym. Imaginatyk odczuwał mrowienie na całym ciele, zwłaszcza w krzyżach, chłód w mózgu i w okolicy serca. Dla uspokojenia rozigranych nerwów mecenas brał siebie na egzamin. Wykonywał jakieś ruchy gimnastyczne, spacerował po pokoju z zamkniętymi oczami, albo usiłował iść zupełnie prosto wzduż wytkniętej sobie myślowo linii i tracił równowagę zapewne ze zdenerwowania, potykał się, zbacał. Wówczas chwytął go zimny przestrach, coś zapadało się w nim a pod stopami otwierała się przepaść. Mecenasa postanawiał natychmiast wybrać się do Immerglücka—i nie miał odwagi. Tego rodzaju zapasy Czesław Rogoński toczył niekiedy w przeciągu całego tygodnia. Stawał się

wtedy rozdrażnionym, gderliwym, albo posępnie apatycznym.

Pani Ewa przyszła zapowiedzieć mu swój wyjazd właśnie w najmniej odpowiednim momencie, bo w dniu konsultacji u doktora. Adwokat siedział u biurka, udając że bada akta, w rzeczywistości chodziło mu o zabicie czasu do godziny 7-ej, wyznaczonej dziś przez Immerglücka. Żona stanęła obok wygodnego, obitego skórą, fotelu, tego właśnie, który ruchem uprzedzająco uprzejmym, umiarkowanie grzecznym, albo zupełnie sztywnym wskazywał swoim klientom, oczywiście w zależności od ich rangi i wysokości spodziewanego honorarium biegły znawca kodeksu życiowego i prawnego Czesław Rogoński. Pani Ewa nie usiadła. Pani Ewa nie wiedziała, od czego zacząć. Jak w pierwszych miesiącach po ślubie odczuwała w tem mgnieniu wobec męża, z którym oddawała nie liczyła się zupełnie—tremę. Nie mogła opuścić domu potajemnie, gdyż wyglądałoby to na tchórzliwą ucieczkę, ale z drugiej strony pragnęła uniknąć wszystkiego, co zakrawałoby na patetyczną scenę rozstania. Przeprowadzenie przytem nie należało do łatwych.

Niespodzianie mąż przyszedł z pomocą.

— Pewno pieniędzy—spytał krótko, nie patrząc na żonę, bo jej zdrowie, młodość i piękność urągały jego zgnębieniu i chorobie, bo żona nie знаła powodu jego zgryzoty, a gdyby odgadła, nie miałyby współczucia.

— Nie potrzebuję pieniędzy.

— Ostatni rachunek Herse'go ogromny.



— Wymagałeś, bym pokazała się na balach, a gdy się bywa trzeba mieć suknie.

— Dałoby się z pewnością zaoszczędzić na czem innem, ale ty nie umiesz i nie chcesz się nauczyć arytmetyki. Gdybyś tak wniosła była oprócz wielkopańskich przyzwyczajęń trochę gotówki w posagu, albo gdyby milionowy stryjaszek Starzechowski rozmyślił się nareszcie i umarł i zapisał parę kroć, mogłabyś szafować pieniędzmi. Dziś, moje dziecko, musimy bardzo oszczędzać się! Tymczasem u nas utrzymanie domu pochłania sumy—zrzędził dalej. — Naprzykład taka panna Irena! Któż słyszał, żeby w mieście oprócz kucharki, lokaja, służącej była jeszcze i zarządczyni.

— Zapominasz, że panna Irena pisze na maszynie. Zresztą, gdy chciałam oddać ją, sam sprzeciwiłeś się.

— Bo zanim nie było panny Ireny, kucharka kradła bez miłosierdzia i obiady mieliśmy tak złe, że chodziłem do restauracji rozchorowałem się. Rządzisz się kaprysami, całą pensję styczniową użyłaś dla Falickich, którzy korzystają z twojej łatwowierności...

Ewa nic nie odpowiedziała, oparła się rękoma o biurko. Krwawo zaślśnił w świetle lampy elektrycznej przepiękny rubin staroświeckiego pierścionka, który był jedyną jej pamiątką rodzinną.

Wiele już razy mąż i jego rodzina wyrzucali jej, że ona jest rozrzućnicą, że nie spełnia obowiązków, że próżniaczy i daje zły przykład, że delikatne palce nie dotknęły nigdy kurzu mieszkania, klamki drzwi kuchennych, księgi rachunków.

Jakże niecierpliwiła ją zwykłe ta wieczna niechętna krytyka każdego jej postępu! Dziś zbyt była szczęśliwą, by spierać się, zbyt dobrą ze szczęścia, by gniewać się.

— Mogłabyś doprawdy—mówił mąż tonem łagodnie moralizatorskim a w rzeczywistości ze złością i ze złośliwym zamiarem dokuczenia jej—zając się i gospodarstwem i jakąś pracą publiczną. Moja pani ubiera się, rozbiera się i przebiera się, robi sprawunki, oddaje wizyty, chodzi do teatru i czyta powieści... To nie wystarcza... Trzeba mieć poczucie obowiązków społecznych. Tyle jest roboty w Warszawie...

— Gdyby wszyscy wzorowali się na Czesławie Rogońskim.

— Cóż znowu za ironja? Nie należę oczywiście do najpierwszych i najlepszych, ale robi się co można... Pracuję w swoim fachu, w partji, w redakcji, w stowarzyszeniach...

Dalszy ciąg nastąpi.

TOPIEL.

25

Pochmurny od niejakiego czasu Kazimierz z milczącą zaciętością machał swoją kosą jak wśród wrogów wśród złotych od słońca, szeszczących zbóż. Za bratem podążał tuż tuż Tadzik z egzaltacją nie ludzkiego wysiłku na wychudłej od znoju i trudu twarzy. Za nimi to słaniając się tuż tuż u rozpalonej ziemi, zbierając garście, wiążąc snopy, to wyprostowana z grabiami w rękę szła Frania, zgrabna i skromna jak zawsze, ale bez uśmiechu i dawnych piosenek. Pan Wojciech też albo kosił, albo wozził snopy na przemian.

Gazet na Pohulanca nie czytano, nawet do miasta zaprzestano jeździć w tym czasie.

To też jak grom z jasnego nieba spadł na rodzinę przyniesiony wieczerem przez strażnika nakaz, aby Kazimierz najdalej w ciągu trzech dni wyruszył z powrotem do wojska.

— Co takiego?.. Przecież do końca urlopu masz jeszcze dziesięć dni!.. — zauważył pan Wojciech.

— Pewnie wojna! — szepnął Kazimierz, kładąc papier na rogu stołu i siadając na ławie.

— Wojna!.. Co ty mówisz?.. Z kim że? — pytała drżącym głosem pani Wojciechowa.

— Pewnie z Austrią. Gadali, kiedy ja jeszcze tam byłem. A może i z... Japonią! Kto ich tam wie!..

— W imię Ojca i Syna i Ducha... Mało im jeszcze co dostali?.. Tobym wtedy sybirskie pułki poszły pierwszeli!.. — szepnęła głucho matka.

— A tak. Może dla tego wzywają! — odrzekł Kazimierz.

— A ty byś synu poszedł, dowiedział się... Może dziś jeszcze nie zapóźno?..

Kazimierz potrząsnął głową.

— Poco chodzić?.. Szykować się trzeba do drogi... Niema rady... Czasu szkoda!.. Jeszcze te dwa dni popracuje z wami!.. Niech mi matka bielezną opatrzy, podarła się ona trochę... —

— A jednak wartoby od Pracławicza się dowiedzieć... Może co jeszcze można zrobić?.. — wtrącił pan Wojciech.

Kazimierz palił fajeczkę i patrzył w milczeniu w róg izby.

— Może ja pójdę. Choć się dowiem z kim wojna. Matkę uspokoję, bo przecież, jeżeli z Austrią, to was tyli szmat drogi ciągnąć nie będą,

mają tam swoje pułki!.. — dowodził pan Wojciech. — Wiesz, Tadzik, idź załóż konia!..

— Nie, ojczu, jeżeli iść, to pójdę sam i pójdę piechotą. Poco konia wlec?.. Przejdę się!.. — postanowił nagle Kazimierz, wstając i gasząc fajkę.

Umył starannie twarz i ręce, uczesał czuprynę, wyjął i oczyścił starannie najlepszy mundur letni. Matka przyglądała się tym przygotowaniom z smutnym niepokojem.

— Możebyś lepiej... jutro rano?.. Odrazu byś sprawunki potrzebne załatwił?..

— Nie, nie!.. Jak iść to już dziś!..

— A ty mu, Tadziku, konia osiodłaj. Bryczką po nocy to prawda nie warto się tłuc, ale mu osiodłaj!.. — kazał pan Wojciech.

— Nie trzeba, ojczu, doprawdy. Ale Tadzik już zniknął i gdy Kazimierz chwilę potem wyszedł na próg, brat mu zaraz prawie podprowadził osiodłanego karosza.

Truchcikiem pobiegł koń z wrót tonącą w ciemnościach drogą, ale Kazimierz go niedługo przytrzymał i puścił krokiem. W dali słabo migotała rzeczułka w blasku gwiazd; ogni miasta przysłoniętego gąkaniem nie było jeszcze widać. Jednostajny szum „porohu“ podkreślał orgonny, nieruchomy spokój głębokiej upalnej nocy sierpniowej. Od ogrzanych pól leciały w powiewach nieokreślonych mocne zapachy schnących ziół i zrętego zboża.

Kazimierz puścił wolno wodze stąpającemu ostrożnie w ciemnościach koniowi i zamyślił się głęboko.

— Po co, po co? Nie będę nic mówił wejdę, spytam się tylko o wojnę i... wyjdę. Nie chcę jej widzieć!.. — powtarzał sobie uparcie. Ale nierówno bijące serce, to stukotem wypełniające mu całą pierś, to boleśnie zamierzające, mówiło mu, że przeciwnie pragnie nad życie ją ujrzeć, pragnie i boi się, raduje się nadzieją widoku jej ust kochanych, jej zapalających mu krew oczów, jej smukłej, eleganckiej postaci, tak różnej od tylu dziewcząt jakie mu wróżył los na żonę... Marzył, że pewnie raz ostatni jej mała miękka ręka spocznie na chwilkę w jego twardej dłoni wieśniaczki.

— I co? I co?.. I nic!.. Co jej powiem?.. Nic jej nie powiem!.. Co

jej mogę powiedzieć?.. Że nią gardzę... przecież „opaskudziła“ się już z... tym Moskałem!..

Wyprostował się. Przed zazdrosnym okiem wstały mu wstrętne obrazy. Odpychał je, zaciskając zęby, z wewnętrznym bolesnym jękiem:

— Podła, wstrętna!.. Niech się odda choć całemu bataljonowi!.. Co mi to obchodzi!.. Otóż wyjadę, z wojskiem pójdę, nie wrócę... Będę się łajdaczył z niemkami, z austrijczkami, z murzynkami... Z kim się spotkam!.. Niech wiel!.. Ożenię się i tam zostanę!.. Do Ameryki popłynę!.. Dość tej Syberji, dość Rosji przekłetej... Ona też... Moskiewica!.. Tak plunąć na wiarę, na ojczyznę... oddać się szubrawcowi, łapownikowi, policyjnemu psu!.. Choć by był ładny, choć by był bogaty, ale... co on lepszego odemnie?.. Taki sam niezgrabny chłop... Tylko że ma „czyn oficerski“... To i ja mogę go mieć niedługo... Na wojnie o to nie trudno!.. A jeżeli to ja ojciec zmusza, stary rajfur!.. To też źle!.. Czego go słucha!.. Tu ja posłuch nie obowiązuje, tu o jej duszę chodzi!.. Nie, nie!.. Stary by jej nie zmógł gdyby nie chciał!.. Chce sama!.. Byle chłop!.. Taka już natural!.. Bez matki chowane... Obie takie!.. Bronka choć pieniądze robi, ale ta i tego niema... Sama rozpuści!.. A niech ich diabli wezmą!.. Co mi tam!.. Za trzy dni już mię tu nie bądzie... Wejdę i okiem na nią nie rzucę!.. Niech wie, że tyle mię obchodzi co ta pusta ściana!.. Albo nie; bądę patrzył jak w puste miejsce!.. Niech sobie ściska cię i całuje z swoim Moskałem, ile chce!..

Ściśnięty piętami koń przyspieszył kroku; już byli w mieście. Ci cho dudniły kopyta karosza po niebrukowanych ulicach. Po obu stronach spały czarne, niskie budowle drewniane, rzadko tu i owdzie rozświetlone późnymi ogniami.

Koń poparskując sam zawracał na rogach w znanym mu dobrze kierunku, wreszcie stanął przed bramą Pracławiczów. W domu nie spało, przez serca w okiennicach strzelały smugi światła a na podwórzu z okien kuchennych buchał cały ich snop. Kazimierz zastukał do furty na stróża a gdy ten mu bramę otworzył, oddał mu konia i otrzepnąwszy buty chustką z kurzu, wszedł na oszklony ganek. W głębi domu huczały głosy a w przedpokoju na szaragach dostrzegł dużo czapek wojskowych i urzędniczych oraz kapeluszy filcowych i słomkowych. Wisiały tam również dwie szable oficerskie.

— Jakiś zjazd!..—pomyślał onieśmielony.

I gdyby ktokolwiek wyszedł do niego, ograniczyłby się pewnie do wywołania Praclawicza do przedpokoju i poufnej z nim rozmowy. Nikt jednak nie wychodził; zbliżył się więc Kazimierz do drzwi salonu i klamkę ostrożnie nacisnął.

Salon rzęsiście oświetlony lampami na ścianach i kandelabrami na stołach, pełen był gości, skupionych koło wielkiego stojącego pośrodku stołu. Byli to poważnie mężczyźni. Nikt nie zwrócił uwagi na stojącego w progu przybysza. Wszystkie oczy były utkwione w kłodę kart poruszających się w białych rękach „bankomiotów” tuż nad zielonym sukniem pokrywającym stół. Po pewnej chwili dopiero z poza grających, z kąta zamglonego kłębami dymu tytoniowego i cieniem ponsowym, narzuconego tam na lampę abażuru, poderwała się jakaś postać i sunęła ku niemu szybko pod ścianą przejściem po za gośćmi. Serce mu drgnęło, gdyż od razu poznał Zosię. Już stała przed nim w czarnej sukience i skromnej malinowej bluzce zgrabnie oblegającej jej śliczne piersi. Za jedyne upiększenie miała sznur pereł na szyi i różę ponsową w kruczonych włosach.

— Ach, to pan!..—mówiła, wyciągając rękę z wesołym uśmiechem.—Dla czego... tak dawno... i dla czego tak późno!..

— Przepraszam bardzo, mam interes do pana Praclawicza.

— Doskonale. Tatuś jest. Talja zaraz się skończy i będzie panu służył. A tymczasem niech pan przejdzie do naszego kącika... Damy panu herbaty a pan da nam trochę wiadomości, co się tam u was dzieje!

— Tak daleko!..—mruknął z niechęcią, patrząc na koło osób siedzących przy stole.

— Ach dziwak pan i dzikus!..—roześmiała się.—Ale to nic, my tu nikogo nie zaczepimy... Tu niema zwyczaju przedstawiać się i witać w czasie gry, tu się zresztą wszyscy znają... Niech pan idzie za mną, jak za Beatryczą... Czytał pan Daniego?—spytała po polsku.

— Trochę... kiedyś... w szkole...—mruczał przeciskając się po za grzbietami gości.

— I ja też... niedużo!..—śmiała się.—Bo ta książka była po polsku, została po matce, a mnie trudno po polsku.

Przechodząc koło Praclawicza, dziewczyna pochyliła się i szepnęła coś ojcu; stary kiwnął głową, lecz nie ruszył się. W czasie tej roz-

mowy siedzący niedaleko „bankomiot”, nie przestając strzepywać kart, obrócił zlekka przyszczowaną, rozlaną, jak u trędowatego twarz ku Kazimierzowi i zielonawo przenikliwe jego oczy z wyniosłą badawczością ślizgnęły się po postaci młodzieńca.

— Kto jeszcze dobiera?—spytał niskim głosem.

— Ja proszę!..

— Dubluję!..

— Róg!..

— Maść we dwoje!..

— Jeszcze jedną!..

Brzmiały z rozmaitych stron odpowiedzi, trzaskały w talji i cicho spływały na sukno rzucane karty, szeleściły banknoty.

— Jak się pan ma! Dobrze, że pan przyszedł!.. Co za nuda? I jakie gorąco!..—witała się z Kazimierzem Bronia, rozwalona na fotelu w jakimś wschodnim serajowym stroju.

Chuda, patykowata Rożkowa w jasnej sukni, wyprostowana pośrodku kanapy, podała mu rękę z milczącym uśmiechem. Zosia tymczasem dotknęła dłonią stojącego niepodal na stoliku niklowego samowaru, poczem nalała mu filiżankę herbaty.

— Niech pan siada, niech pan siada!.. Jeszcze gorąca!.. A może pan woli wino?..

Kiwnęła głową w stronę stojącego na ziemi srebrnego kubła, skąd z lodu sterczały białe lakowane szyski butelek.

— Dziękuję. Proszę o herbatę...

— Nalej Zosiu, nalej!.. Nie pytaj!.. Nalej i mnie. Musi się przecież pan ze mną trącić!..—zwróciła się do Kazimierza Bronia z rozmazonym uśmiechem.

Spojrzał na jej odkryte, falujące w oddechu łono na gołą do łokcia rękę z płaskim kielichem, wyciągającą się doń jak smukły bładny kwiat z szerokiego złoto-żółtego rękawa.

Pomyślał: „Ładna bestja!” i gorący rumieniec wybił mu na twarz.

— I mnie też nalej!—szepnęła do Zosi Rożkowa.

— To i ja. Cożem ja od was gorszego? Wszak trąci się pan ze mną, panie Kazimierz!..—świergotała wesoło dziewczyna, lejąc z ciemnej butelki napój złoto-perlisty.

— No, cóż słyhać nowego?—pytała Bronia.

— Właśnie przyszedłem się dowiedzieć!.. Czy to prawda że wojna z Japonją?

— Z Japonją? Nie słyszałam. Mówią, że ma być wojna, ale z Austrią... Zresztą dobrze nie wiem z kim... Mówili nawet, że... z Szwajcarją... Zdaje się, że ze Szwajcarją...

prawda Zosiu! Czy może ze Szwajcarją!.. Z kimś na Sze... Ale to tak nudne: wciąż to samo — noty, telegramy, interviewy...

— O, wcale nie!.. Ja się nie zgadzam! — protestowała Rożkowa — Tylko, że to wszystko bardzo spóźnione. Co dla nas nowina, że w Europie już historia!..

— I to jest przykro. Czy nie prawda, Kazimierzu Wojciechowicz?

— Nie wiem... Nie mamy czasu. Żniwa, ludzi brak...

— I pan, po to tylko przyjechał, żeby się dowiedzieć o wojnie!.. Tak ka pana wzięła nagle ciekawość... Ee, żarty! Niech pan się lepiej pochyli i wypowiada cichutko, o tu tu... — roześmiała się Zosia i pokazała palcem na swe różowe uszko — Tylko prawdę, proszę powiedzieć prawdę: do kogo to pan tak późno jeździ po nocy do miasta?

— Tak, tak: do kogo pan jeździ?! Musi pan zaraz powiedzieć i jeżeli ładna my pana z miejsc rozgrzeszymy!.. — poparła siostrę, śmiejąc się Bronia.

— Ależ nie!.. Bóg świadkiem, że nie!.. — bronił się zmieszany Kazimierz.—Doprawdy przyjechałem pytać się... o wojnę. Matka bardzo... niespokojna...

— Bo co?

— Bo... wezwali mię... przed urlopem... do wojska...

Zosia przestała się uśmiechać.

— A co!.. Mówiłam, że wojna. To bardzo interesujące. Jak tylko będzie ogłoszona na prawdę, zaraz zapisuje się na siostrę miłosierdzia. Moc wrażeń, nieznane kraje, tłumy, przogody, pociągi, bitwy, bohaterzy... — trzepała prędko Rożkowa.

— Ha, może i ja zostanę siostrą miłosierdzia, jak wszyscy mężczyźni żołnierzami zostaną!.. — westchnęła Bronia zarzucając ręce za głowę. — Ale teraz... nalej Zosiu panu i mnie jeszcze... Wypijemy za bohaterów!

Zosia nie ruszyła się jednak.

— Więc jeżeli to tak, to pana... wywiozą daleko?—spytała po polsku.

— Zapewne wywiozą. Dla tego chciałem się właśnie dowiedzieć!.. dokąd?

— Nie ma pan ochoty bić się?.. Niech pan powie.

— Tchórzem nie jestem, ale ochoty nie mam. Za co? Mieliśmy wracać do Polski a tu taki „darmowy przejazd”! — uśmiechnął się z przymusem.

— To pan by już nie wrócił w... żadnym razie?

Dalszy ciąg nastąpi.



JAN SOKOLICZ WROCZYŃSKI.

U BRAM TORUNIA.

*W gotyckich murów cudnej legendzie,
która przetrwała wieki i lata,
baśń się czarowna o Polsce przedzie
rozpina skrzydła i w niebo wzlata.*

*U bram Torunia stanął na straży
niebieski mundur i kurtka szara;
wartując nocą, radośnie marzy,
że krwi nie była próżną ofiara.*

*Na wież kościelnych strzeliste łuki
noc gwiazdy dłonią sypie świetlaną —
dziś snu pradziadów dożyły wnuki,
spowite miasto w baśń chorągwaną.*

*Polskie chorągwie szeleszczą w wietrze,
co gna potężny — hen — aż od morza —
Orzeł wraz z Gryfem w proch wroga zetrze,
na bój powiedzie ich — Matka Boża.*

*Jak dobra matka swą piersią własną
osłania miasto ten Orzeł Biały,
i wieści przyszłość świetlaną, jasną,
za lata męki — dnia sławy — chwały.*

*Wraca do Polski jedno z jej dzieci,
które wróg deptał, pętał w kajdanach;
zgasł bezpowrotnie sen złych stuleci,
dziś polskie barwy na dawnych ranach.*

*O Ciebie walczył, toruński grodzie,
żołnierz, co Polskę wskrzeszał z nicości,
o Ciebie walcząc, w znoju i głodzie
po całym świecie rozwłóczył kości.*

*A z krwi przelanej kwiaty wyrosły,
owiły wieńcem Twe stare mury,
i wieść radosną światu rozniosły:
siadł na wież szczytach — PTAK BIAŁO-
[PIÓRY!..*

Toruń, 20 stycznia 1920.

ZYGMUNT RÓŻYCKI.

BIAŁY HAFT.

*Oto czarowną wstęgę wyhaftuję,
Która najmędrszych zadziwi hafciarzy,
Skrzący mróz wezmę, co się srebrnie jarzy
I dwie maleńkie ubielone tuje
I wraz je z sobą powikłam i splotę
W jakoweś nikle a misterne sieci,
Poza któremi gwiazdą się roznieci
Tą niepochwytą, budzącą tęsknotę;
Krzewy, co w chrósty zwicchrzone się mącą
W najśnieczniejsze zimowe południa,
Gdy szeptem bajki ogród się zaludnia
I każda gałąź zda się być mówiącą
I zimny błękit wyslizganych drózek,
Strumieni małych chwycę ścieg modrawy
I na swej wstęgi nazłocę go jawy,
Nimby mi jawę ktoś złowróżbnie urzekł;
Potem chwyciwszy pył mieniący w biegu
Na swego haftu narzucę go końce,
By zagrał tęczę, kiedy zagra słońce
I małą grudkę wkrąg rozproszę śniegu,
Na której będzie czyjś ślad odcisnięty,
Ślad najprawdziwszy, albo też zmyślony,*

*Albo kwiat wsnuję gdzieniegdzie skrzydlony,
Albo koronki skrawek odchuchniętej
Z zamrożonego szybego zwierciadła
I ową rzeźkość pochwycę radosną,
Co w pośród zimy przesnuwa się wiosną,
Tą najzłocistszą, co siebie odgadła.
I myśli moje ów czar wszystek wprzód
W ono dziecinne, drobne haftowanie,
Niech mi ten mały wspominek zostanie,
Niechaj mi będzie powrotną legendą
Mojego z życiem i światem zjednania
I ową jakby troskliwą pogodą
W dni gdy nadzieje już wszystkie mnie zwiodą
I noc mi wszystek już blask pozasłania
I ludzie serce bijące ostudzą,
A Bóg to wszystko przyjmie obojętnie,
Niech pieśnią wstąg tych zgaszone rozstępnę,
Niech owe lśnienia choć raz mnie uludzą,
Że oto jeszcze mym snom coś się marzy,
Coś nicią szczęścia zdaleka się snuje —
Oto czarowną wstęgę wyhaftuję,
Która zadziwi najmędrszych hafciarzy.*

Rubin Prymadonny.

27

Powieść w dwóch tomach.

— Czekałam na ciebie — rzekła z prostotą, po przywitaniu. — Przypuszczałam, że zejdziesz na dół, a chciałam pomówić z tobą, bo wczoraj nie miałam sposobności. Małgorzata i pani Rushmore niespuszczały ze mnie oczu, myśląc, że jestem chora i musiałam paplać jak sroka dla zachowania pozorów.

— I udało ci się to doskonale — rzekł pan Van Torp. — Gdybym cię nie był widział w oknie wczoraj, jak wysiadałam z automobilu, nie byłbym nigdy przypuścił, iż ci coś jest.

— Jest mi i bardzo — jest mi coś, o czym prawie nie jestem w stanie myśleć, a muszę, dopóki się nie dowiem prawdy.

Skręcili w pierwszą, pustą ulicę i szli zwolna obok siebie.

— Domyślałam się o co chodzi — odpowiedział Van Torp z powagą. — Z umysłu byłem u niego wczoraj nim odjechał, i muszę wyznać, że gdyby nie broda byłbym zupełnie pewny.

— Miał brodę, gdy się ze mną żenił, taką samą — zupełnie taką samą.

Głos Lady Mand trząsł się jak w febrze.

— Nie wiedziałem o tem — odpowiedział Van Torp. — To zmienia postać rzeczy. Jeżeli się nie mylimy, co mam czynić, żeby ci być pomocnym? Zastanowimy się i naradziemy. Widziałas go tylko przełotnie; przez okno?

— Tak. Ale okno było otwarte, a piętro nie jest wysokie, ja zaś mam dobre oczy. Zdjął kapelusz, żegnając się z tobą, i zobaczyłam jego twarz tak wyraźnie jak twoją w tej chwili. Gdy się było czyjaś żoną — zaśmiała się twardo — nie tak łatwo omylić się co do jego osoby. To jest mój mąż. Jestem o tem przekonana, w głębi duszy, ale muszę się upewnić! Rozumiesz mnie?

— Rozumiem. Jeżeli to jest istotnie Leven, tedy jest jeszcze lepszym aktorem, niż mi się wydawał. Jeżeli nim nie jest, to podobieństwo jest nadzwyczajne. Prawda, że widziałem Levena zaledwie trzy czy cztery razy w życiu ale przypatrzyłem mu się dobrze, a także zapamiętałem jego głos.

— Zachodzi tylko jedna trudność — rzekła Lady Maud — ktoś inny mógł być zabity w czerwcu.

Może nawet złodziej kieszonkowy, który mu właśnie ukradł pugilares. Takie rzeczy się zdarzają, nietylko w książkach. Ale czy jesteś pewny, że to jest ten sam, którego poznałeś w Nowym Yorku, i od którego kupiłeś ten rubin, coś mi go dał?

— O! to niewątpliwie. A to miało miejsce w lipcu, podczas gdy Leven zabity był w czerwcu.

— Tak. Więc zostawał by mu tylko miesiąc na podróż po Azji. To niemożliwe.

— Najzupełniej, najoczywiście niemożliwe — przytwardził Van Torp — więc jedno z dwojga. Albo ten człowiek jest twoim mężem, a w takim razie nie jest tym, który odkrył rubiny w Azji. Albo jeżeli to ten sam, w takim razie nie jest Levenem. Szkoda, że tej tatarskiej dziewczyny tu nie ma. Ona by go poznała w jednej chwili. A w każdym razie zrobiła by lepiej będąc tu, niż włócząc się po morzu Śródziemnem z tym tam Logothactim.

— Tak — odpowiedziała Lady Maud z powagą. — Ale wracając do mnie. Jeżeli Leven żyje, jakież jest moje położenie? Cóż ja jestem, sama doprawdy nie wiem.

— Każda inna na twojem miejscu, była by już pomyślała o powtórnem zamąż pójściu — zauważył Van Torp, patrząc na nią z pod oka, bo była wyższą od niego — i wtedy to była by istotnie chryja. Coś w rodzaju historii Enocha Ardena, ale skoro tak nie jest, cóż cię to może obchodzić? Leven przybrał inne nazwisko, więc widocznie, ani się upominać o swoje małżeńskie prawa, ani rozwodzić z tobą nie myśli. Włazł w inną skórę, bo mu to dogadza, i zapewni ożeni się w ten sposób, to już rzecz jego nie twoja. Nie przypuszczam chyba, abyś szła do kościoła i wstrzymywała zapowiedzi.

— Zrobiłabym to bez wahania — odrzekła Lady Maud — a i ty byś to zrobił, jestem pewna. Pomyśl tylko o tamtej, drugiej kobiecie!

— Zapewne, zapewne — odpowiedział Van Torp bez entuzjazmu. — Teraz jednak myślimy o tobie i o chwili obecnej i zastanówmy się co nam czynić wypada. Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli go pod jakimś pretekstem poproszę, żebyś mogła pojechać yachtem.

— Proszę cię, nie czyn tego — zawołała Lady Maud.

— Kiedyż ja chcę, żebyś pojechała.

— To też pojedę. Czy myślisz, że lękam się z nim spotkać?

Van Torp popatrzył na nią z pewnym zdziwieniem i nie bez zachwytu.

— Niema drugiej takiej kobiety na świecie, jak ty — rzekł spokojnie. — Ale to będzie heca na statku, jeżeli to jest Leven. Niech tylko spróbuje wyprawiać brewerję, każę go zamknąć i basta!

— O nie — odpowiedziała Lady Maud przyzwyczajona do słownika pana Van Torpa. — Po co miałyby być jakieś nieprzyjemności? Nie powiedziałas mi, że ja będę? Bardzo dobrze. Jeżeli mnie zobaczy nagle, już na pokładzie, zdradzi się niewątpliwie, a wtedy upewnię się że to on. Lewen jest człowiekiem światowym, jest „czy był“ Bogu wiadomo w jakim czasie o nim mówić. Ale jeżeli to on i nie chce być poznanym zachowa się po pierwszemu chwili zdziwienia, jak gdyby nic nie zaszło. Ale ja się przynajmniej upewnię. Może cię to dziwi, Rafusie — ja sama się dobrze nie rozumiem — ale chciałabym, żebyś mi dopomógł.

— O ile to będzie w mojej mocy.

— Nie nie wiesz, co mam na myśli. Jest w mojem życiu coś, o czym ci nigdy nie mówiłam, sama nie wiem dlaczego. Muszą być ludzie, prócz mojej matki, którzy to wiedzą, chociaż nie sądzę, żeby mój ojciec do nich należał. Małgorzata domyśla się czegoś, z kilku słów, które mi się kiedyś wymknęły. Ja i ty od tylu lat żyjemy w tak ścisłej przyjaźni, mamy tyle wzajemnego zaufania do siebie, a jednak —

Urwała i zarumieniła się lekko. Van Torp szedł zwolna z oczyma utkwionemi w chodnik.

— Słuchaj Maud — rzekł z cicha — lepiej mi nie mów. Może kiedyś pożałowałabyś tego!

— Byłoby to po raz pierwszy — odparła szybko. — Nie, często chciałam, żebyś wiedział wszystko, powiem ci teraz... tylko poczekaj chwilę.

Szli dalej, i wkrótce znaleźli się za obrębem miasteczka. Van Torp nie podnosił oczu, wiedział bowiem, że sama zacznie mówić, gdy przyjdzie czas. Jakoż zaczęła; a głos jej był stłumiony i patrzyła prosto przed siebie, tak jak on:

— Gdy byłam młodziutką, już temu lat jedenaście blisko, pierwszego roku mego bywania w świecie, spotkałam człowieka, którego poko-

chałam, i który mnie także pokochał. Był niewiele co starszy ode mnie i zaledwie wstąpił do wojska. Nie mogliśmy się pobrać bo nie mieliśmy majątku — mój ojciec nie był jeszcze wtedy odziedziczył tytułu — ale przyrzekliśmy sobie, że będziemy czekać. Czekaliśmy więc, i nikt o tem nie wiedział, wyjawszy może mojej matki, która o ile mogła przeskadzała nam w widywaniu się. Wybuchła wojna burska. i on poległ, ... poległ w jakiejś marnej potyczce, nawet nie w bitwie i pochowano go tam... Och! gdybym tylko wiedziała gdzie!.. Przeczytałam w telegramach, tylko słówko „poległ“ nic więcej. Nie umiera się z takich rzeczy. Lata mijają, ja w dalszym ciągu bywałam w świecie; chciano mnie wydać za mąż. Wiesz, jak to się dzieje. Poszłam za mąż, ot tak, aby pójść, poszłam za Lewena, bo był przystojny, i miał majątek i... sama nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się rzeczą łatwiejszą pójść za cudzoziemca, niż za anglika. Może ty tego nie zrozumiesz. — Ale, tu nie mogło być mowy o żadnym porównaniu... Gdy tamten umarł nie byłabym mogła pójść za kogoś co by go znał, lub był w czem kolwiek do niego podobnym.

— Rozumiem to doskonale rzekł Van Torp, gdyż umilkła na chwilę.

— To dobrze, bo łatwiej mi przyjdzie wytłomaczyć ci resztę. Nie powiem, żebym się była starała zawsze być dobrą żoną dla Levena. Widzisz, znudziłam mu się prędko, i począł się uganiać za innymi kobietami, może byłabym potrafiła utrzymać go, gdybym o to dbała, ale byłam mu wierną na swój sposób, a było to rzeczą trudniejszą niż mógłbyś nawet przypuszczać. Och! Nie chodziło tu o żadnego żyjącego mężczyznę. Bo był tamten... Wrócił, jak umarli czasem wracają, i powiedział mi że jestem jego, nie Levena żoną, a ja walczyłam przeciwko temu, jak gdyby ktoś ubiegał się potajemnie o moją miłość. Nie czułam się wierną w myślach, memu rzeczywistemu mężowi, a w pewnych sprawach myśli są wszystkim. Walczyłam więc wszystkimi siłami, przeciw temu jednemu ukochanemu. I wtedy to zabrałam się do pracy zdjęta litością nad temi biedaczkami, które może walczyły także, nim uległy i nieraz zadawałam sobie pytanie, czy i ja byłabym lepsza od nich, gdyby tamten wrócił do mnie żywy? Widzisz, mówię ci takie rzeczy, do których sama przed sobą nie śmiałam się prawie przyznać.

— Tak; widzę, i nie wiem czy

znalazłaby się druga tak czująca jak ty kobieta.

— Resztę już łatwo odgadniesz — mówiła dalej Lady Maud, nie zważając na przerwę. — Gdy sądziłam, że Leven umarł, walka była skończoną. Myślałam i sercem wróciłam do ukochanego, uważając się za wolną. Ale teraz, jeżeli on żyje, wszystko zacznie się na nowo. Powinnam być mężną i walczyć, muszę, ale nie mogę! nie mogę!.. Za ciężko mi teraz!.. Te dwa miesiące były najszczęśliwszymi w mojem życiu od chwili gdy tamten zginął. Jak to teraz odrabiać? A jednak jeżeli nie mogę być uczciwą w myślach, nie jestem zgoła uczciwą i zasługuję na to, żeby mój mąż podał się do rozwodu ze mną. Cnota leży w intencjach a nie w czynie.

Van Torp widział w życiu różne strony natury ludzkiej, ale nigdy nie wyobrażał sobie, żeby mogło istnieć coś podobnie wzniosłego, nawet w czystych głębiach serca tej kobiety; i uczuł się wzruszonym do głębi. Natury nieprzeparte obdarzone bywają często wrażliwością, o jakiej świat niema pojęcia. Można to nazwać degeneracją, histeryją fakt niemniej zostaje faktem.

Gdy Lady Maud kończyła swe opowiadanie drżącym głosem, urywanemi słowy, oczy pana Van Torpa tak zwilgotniały nagle, że musiał szybko przesunąć po nich ręką, by mu łzy nie kapnęły na policzki. Tuszył sobie, że Lady Maud nie zauważy tego.

Lecz ona w tej samej chwili zwróciła się ku niemu i ze zdumieniem spostrzegła, że Van Tropowi drżą powieki, a na rzęsach osiadła rosa.

— Przepraszam cię, — rzekł, usprawiedliwiając się, jak gdyby coś zawinił. — Nie mogłem się powstrzymać.

Położyła mu dłoń na ręku serdecznie i z wdzięcznością, ale nic nie rzekła i czas jakiś szli w milczeniu, Ona przemówiła pierwsza:

— Teraz już wiesz wszystko. Muszę się upewnić czy Leven umarł czy żyje, bo to, do czego wróciłam przed dwoma miesiącami jest całem mojem życiem. Jeden rzut oka i to w pewnej odległości nie wystarcza. Musi to być tylko jakieś nadzwyczajne podobieństwo; mówią, że każdy ma gdzieś na świecie swego sobowtóra,

— I mówią także, iż jeśli się spotka swego sobowtóra to jedno z tych dwojga umiera — zauważył Van Torp. — Wszystko to są oczywiście brednie. Ano — ciągnął da-

lej, — jeżeli zdecydowana jesteś jechać moim yachtem, a tamten nie czmychnie, za kilka dni dowiemy się prawdy, i to jest przynajmniej pociecha, a nawet, jeżeli się pokaże że to Leven, to może jakoś się to urządzi.

Lady Maud wolała nie pytać, co Van Torp pod tem „urządzeniem się“ rozumiał, spojrzała bowiem na niego, gdy mówił i przestraszył ją wyraz jego twarzy. Nie lubiła widzieć go w tym nastroju i zaczęła żałować, że go wywołała.

Ale pan Van Torp, który był obdarzony wielką fizyczną siłą i widział niejedną bijatykę za swych „ranczowych“ dni pomyślał mimowoli, jakby to było łatwo w jaki ciemny wieczór chwycić hrabiego Kralinskiego wpół i przetrząść go przez burtę gdy *Lancashire Lass* będzie płynąć z szybkością dwudziestu dwu węzłów. a trochę wiatru stłumiło by plusk ciała w wodzie.

ROZDZIAŁ VI.

Miljoner wystąpił wspaniale. Początkowo chciał zawieźć towarzystwo samochodem do Wenecji, ale ponieważ Małgorzata wymówiła się ze względu na głos, zatelegrafował po specjalny, wygodny wagon, i przewiózł panie koleją.

Kralinskiego nie było jeszcze na jachcie gdy całe towarzystwo przybyło o zachodzie słońca dwoma gondolami, wślad za parową łodzią wiozącą kufry i dwie pokojówki. Pakunki i pudła Prymadonny piętrzyły się nad kuframi i walizkami pani Rushmore, spoczywającymi na skromnych bagażach Lady Maud. Potts siedziała w pobliżu steru trzymając na kolanach szkatułkę z kosztownościami Małgorzaty; a Justynka piastując takż sam sepecik pani Rushmore, spoglądała na nią zawistnie, przeczuwała bowiem, że dostanie morskiej choroby na jachcie; a Potts nie chorowała nigdy, pomimo że przejechała ocean z Divą i to przy burzliwym morzu.

Stemp wskazywał drogę, a pan Van Torp zaprowadził panie do kajut. Naprzód panią Rushmore, która była zachwycona bogatym i wesołym wyglądem tego pokoiku przystrojonego na różowo złotem, co było ulubioną kombinacją Stem-pa. Nad mosiężnem łóżkiem wisały różowe, jedwabne firanki podpięte szerokimi, złocistemi wstążkami; różowa, jedwabna kapa obwieszona była złotą frendzlą, na podłodze leżał różowy dywan.

Dalszy ciąg nastąpi.



Piękna zabawa czyli Teatr świata.

Napisać w epoce dzisiejszej obszerny poemat refleksyjny — dawniej powiedziałoby się: dydaktyczny — to niewątpliwie dowód wielkiej odwagi autorskiej. Poeta, który się na rzecz taką waży, nie liczy na poklask i popularność, ale ulega widocznie potrzebie wypowiedzenia swych przeżyć. Świadczy o tem istotnie debiut Romualda Niewiadomskiego, w stylu swym bardzo daleki od prądów współczesnych. Łatwość formy — za mało jednak udoskonalonej jednak pracą artystyczną — i szczerość treści uczuciowej i myślowej cechuje nazbyt może długi wianek wrażeń i myśli, mających dać całość poglądu na świat; wypowiada je samotnik, w którym romantyczne porywy złączyły się z trzeźwością krytyczną, który silnie uwydatnia przepaść między duchem a ciałem, pesymistycznie stwierdza małość i marność w życiu ludzkim, ubolewa nad złudzeniami, jednocześnie jednak pragnie miłością świat objąć i ustalić wyższą rację i wyższą wartość życia. Usiłuje związać swe myśli z obrazem przyrody: od przechadzki i burzy zwraca się do kwiatków życia, do motyli duszy, do nor krecich i gniazd. Nadmierne trzymanie się tej metody zestawień traci czasem pedantyzmem. Wogóle autor za mało ma daru skupienia treści w zwartą, mocną całość. Gdyby poemat był zmieniał w cykl kilkunastu utworów krótkich, ujmujących istotę jego przeżyć — utwór zyskałby na tem bardzo. Talent autora jest głównie opisowo-refleksyjny, nawet uczucie tylko wtedy wypowiada się wyraziście, gdy znajdzie obraz, przenik-

nięty treścią myślową, jnk np. w romantycznej apostrofie do chmur.

Kocham was, że cierpienie czoło wam ozłaca,
Gdy patrzycie, jak iskra, ze serca wylana
Nikogo nie ożywi i nic nie wzbogaca:
Błędnie wzleci i w prochu ziemi się zatraci.

Rodzaj uzdolnień poety może najlepiej zaznacza się w przedstawieniu niezabudki, włączonej do symboliki kwiatów:

W inne kształty rozlśniewa się chęć niezabudki,
Kiedy z ziemi wyniosła swe zielone smutki,
Zoczywszy wokół słońca przecudne błękity,
Życie swoje rozsmiało w niebios aksamity
I stało się światłem, błyszczącym w lazurze
I, kwitnąc małym niebem — spogląda ku górze.

Stosunek do natury zbyt silnie barwi często refleksja — ale zawsze brzmi nuta szczerzego przeżycia.

„Poezje” Tadeusza Bocheńskiego.

Dwa zbiorki swoich „poezji” wydał w Lublinie w r. 1919 p. Tadeusz Bocheński. Poezje te świadczą o dość dużej łatwości wersyfikacyjnej, choć p. Bocheński nie ubiega się o wykint rytmu. Przeważnie bowiem używa rymów poprawnych. Rytmy też stosuje p. Bocheński uznane, łatwo wpadające w ucho. Stosunkowo najpełniej brzmią pod ręką p. Bocheńskiego strofy opiewające miłość. Tatrom poświęcił autor również dużo miejsca w swoim zbiorze. Niektóre z poezji tatrzańskich tchną świeżością wrażeń. Jako wskaźnik czem są poezje p. Bocheńskiego, może posłużyć następujący ośmiowiersz:

„Nieszpory rozśpiewane,
Barwne od chust i wstęg
Dzieciństwo me rumiane
Zda mi się widzę wkrąg.

I dziecinnymi wargi
Śpiewałbym, jak ten lud,
Serdecznie a bez skargi —
I w boży wierzył cud.

Bajka o sonacie.

Z muzycznych ech powstały „Bajki o sonacie” p. Marji Salmonowiczówny. Najchętniej bowiem przebywa autorka w regionach dźwięków. Utworom swoim nadaje rytm nawskroś muzyczne, określające rytm wewnętrzny i poniekąd ich treść, jak „Andante misterjoso”, „Meruetto con grata”, „Presto appassionato” lub „Intermezzo”!

Stosunkowo najmiłsze w tomie utworów wierszowanych p. M. Salmonowiczówny p. t. „Bajka o sonacie” są odczucia przyrody. Wierszem włada autorka dość sprawnie. Stać ją nawet na rytm wytworny. Zdarzają się również obrazy świeże w kolorystyce i ładnie ujęte przez autorkę. Na ogół jednak pieśni p. Salmonowiczówny w treści swojej wewnętrznej nie wybiegają poza motywy wielokrotnie powtarzane już przez współczesne pokolenie nowych poetów.

Z dziedziny kosmetyki.

Młodej mężatce. Najwspanialsza nawet uroda traci cały powab wobec rąk zaniedbanych. Rzecz bardzo zrozumiała że w dzisiejszych ciężkich czasach gospodyni domu musi wykonywać zajęcia, które rące nie oszczędzają, ale na szczęście kosmetyka wynalazła środki, które zniszczone ręce doprowadzą do idealnej delikatności i białości. W tym celu należy

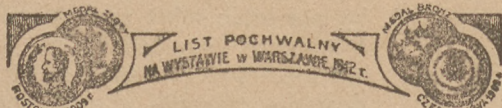
po każdym umyciu rąk wetrzeć na mokro kilkanaście kropli *Goldkremu abaridowego* płynnego. Na noc zaś oprócz tej samej czynności, trzeba na mokro zapudrować grubo ręce pyłkiem *Invenia Candida* i nałożyć bawełniane rękawiczki. Paznokcie zaś trzeba od czasu zwilżać *Onglophilem*, który ma własność wzmacniania kruchych paznokci, które przy polerowaniu tracą na mocy.

Nerwowej. Cudownie prawie wzmacnia nerwy *Sachet Encapinol*. Jeden krą-

żek saszetu trzeba położyć na noc przy łóżku. Aromat leśny ulatniający się którym śpiąc się oddycha nietylko wzmacnia nadzarpnięte nerwy, ale jednocześnie działa na narządy oddechowe, lecząc kbtary i wszelkie niedomagania płucne.

Sabinie W. Odmrożone ręce, nogi, nos, uszy wyleczy radykalnie płyn i krem *Geluvine*.

M-me Erceadès.



Zawiadamiamy

Akuszerki i Matki z PUDER BEBE SZOFMANA
(pierwszego wynalazcy) pomimo trudności został doprowadzony do pierwotnej przedwojennej dobroci. 27

PUDER BEBE SZOFMANA

leczy i usuwa wszelkie dolegliwości skóry jako to: zaprzalność, zaczerwienienie i różne wysypki na ciele. Do nabycia w aptekach i składach.

U MAJCHRZYCKIEJ

Czesanie, ondulacja, mycie głowy, farbowanie, rozjaśnianie włosów, parowanie, wibracyjny masaż twarzy, manicure, pedicure, usuwanie odcisków. WYROBY Z WŁOSÓW.

Chmielna 30, m. 8, I-e piętro, tel. 285-24. 11053

Dr. Jan AŁAPIN

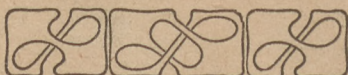
Królewska 31, tel. 49-44. B. st. ord. kl. szpit. św. Łaz. Chor. wener. i skórne, włosów. Prom. Roentgena, niemoc płc. Przyjm. do 1 pp. i 4-7 w. 10854



ROBOTY RĘCZNE

3 ZESZYTY

CENA MK. 9.



PRENUMERATA

w Warszawie i na prowincji wynosi rocznie 140 marek, kwartalnie 35 marek, miesięcznie 12 marek. — Za zmianę adresu 1 markę.

Adres Redakcji i Administracji:

WARSZAWA, SZPITALNA 12.

FILJA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIENI”, Piotrkowska 81.

Przedstaw. w Ameryce: Pierwsze Polskie Biuro Dzienników Polskich News Agency 26, Newark Ave., Jersey City, N. Y.